

## **RPA NAMIBIA 2009**



Przygotowania do ultramaratonu w Kapsztadzie zacząłem w 2007 roku – na wiosnę, zaraz po tym jak w jakiejś gazecie dla biegaczy zobaczyłem, krotką relację z tego biegu. Wiedziałem od razu, że chciałbym tam kiedyś pobiec, bo pamiętam tą trasę z wyjazdu do RPA w 2001 roku z Piotrkim. Wiedziałem, że to zrobię.

Do kolejnego mojego wyzwania, po zwykłych 42 km maratonach, 24 godzinnych maratonach rowerowych, czy zdobyciu Kilimandżaro zakończyłem ostatnim egzamin przed Ultramaratonem 29 marca bijąc o 22 sekundy swój rekord w Półmaratonie Warszawskim (1:38:22 w tempie 12,86 km/h). 11 kwietnia 2009 roku biegnę 56 km w Republice Południowej Afryki, czyli Two Oceans Marathon. Ten dosyć długi bieg, odbędzie się po raz 40 w jednym z najbardziej urokliwych miejsc na świecie jakie widziałem: w Cape Town w RPA, niedaleko Przylądka Dobrej Nadziei, u styku dwóch oceanów: Atlantyckiego i Indyjskiego. Do biegu przygotowuję się od ponad 2 lat. W tym celu pokonałem ponad 4450 km biegiem (824 km w 2009 roku - do 6 kwietnia), Zajęło mi to ponad 415 godzin, czyli ponad 17 dni biegu bez przerwy..., a w rzeczywistości w 678 dni. Do tego ponad 7000 km na rowerze. Startowałem w 3 tradycyjnych maratonach, 3 półmaratonach, kilkunastu biegach na krótszych dystansach, kilkudziesięciu maratonach rowerowych. Przede wszystkim jednak, codziennym treningiem starałem się przygotować fizycznie i psychicznie do pokonania tego dystansu. W 40 letniej historii biegu, ukończyło go jedynie 10 Polaków, co przy około 7000 startujących w każdej edycji - nie jest zbyt dużo. Mam nadzieję, że mi się uda. Po to tam jadę.

### **7.04.2009**

Wybraliśmy sobie całkiem długą wersję podróży. Zaczęliśmy o 7 rano 7 kwietnia jazdą pociągiem do Berlina. Po kilku godzinach oczekiwania i leżenia na słońcu nad kanałkiem przenieśliśmy się na lotnisko, aby odlecieć do Paryża, po czym po kolejnych kilku godzinach odlecieliśmy do Johannesburga.

### **8.04.2009**

Tu wylądowaliśmy około 10 rano, czyli po 27 godzinach.

Wszystko szło tak, jak zaplanowaliśmy, pociąg, samolot, wynajęty samochód itd. Za ładnie żeby trwało tak do samego końca.

Zanim o tym powiedziałem stało się coś, co odmieniło cały wyjazd i chyba resztę mojego życia. Dowiedziałem się, że tego dnia zginął w górach mój najlepszy przyjaciel. Wiadomość była tak niespodziewana, straszna i smutna i kontrastująca z radością z mojego wyjazdu, że w zasadzie nie wiem jak wyjechałem z Johannesburga samochodem i jak dojechałem do stacji benzynowej.

Jechałem i jechałem, kilometry mijały, a ja myślami byłem całkowicie gdzie indziej. Co jakiś czas smutek uderzał z większą siłą, powodując łzy w oczach. Po 100 km zatrzymałem się. Byłem w szoku. Nie wiedziałem co robić. Wiadomości przychodziły od kolejnych osób. Nie było to przyjemne, a z drugiej strony cieszyłem się, że tyle osób przejęło się tą tragedią i do mnie pisze. Jechałem dalej, smutny, ze łzami w oczach, z myślami przy Piotрку, nie mogąc uwierzyć w te okropne wieści. Mijały kolejne setki kilometrów. Wszystko było nieważne, mój wyjazd, wymarzony bieg. Wszystko stało się

bezsensowne. Żałowałem, że jestem w RPA, w zasadzie sam z myślami o stracie najlepszego przyjaciela.

Nie docierało do mnie, że więcej się nie spotkamy, nie pogadamy o naszych problemach, nie będę mógł zadzwonić o każdej porze i powiedzieć, że mi źle, że mi dobrze, czy cokolwiek innego i wysłuchać Piotрка. To największa strata jaką przeżyłem, nie do nadrobienia, nie do zastąpienia. Nie dociera to do mnie, nie dociera i długo nie dotrze. Potrzebowałem go w trudnych chwilach, zawsze był i wiedział o wszystkich moich problemach, myślach i zawsze był. I co teraz będzie? Długo się z tego nie otrząsnę, bardzo długo, sam jeszcze nie jestem tego świadomy.

A kilometry mijają i mijają, zacząłem zauważać, że wszystko dzieje się na odwrót, kierunkowskazy, światła, zakręty, skrzyżowania, znaki. Jakiś TIR na skrzyżowaniu o mało w nas nie wjeżdża, bo pomyliłem strony. Samochód ma kłopoty z uruchamianiem. Przytarłem felgę. Nie możemy wymienić dolarów na randy. Ale ludzie są życzliwi i pomagają na każdym kroku. Po 800 km jazdy niekończącą się prostą asfaltową drogą, wśród wysuszonych pól, gór, których końca na horyzoncie nie widać postój i nocleg w samochodzie na stacji benzynowej, trochę czynnej trochę nie, w zasadzie niewiadomo gdzie. Wokół chodzący ludzie, grająca muzyka, w samochodzie strasznie zimno i smutno, pusto.

### **9.04.2009**

Rano kolejne setki kilometrów, niekończącą się drogą po pustkowiu, z miastami (kilkudomowymi) co 100 km, a czasem rzadziej. Pojawiają się pierwsze antylopy, strusie, małpy. Na 100 km przed Kapsztadem krajobraz zmienia się całkowicie, pojawiają się ogromne góry, żyzne zielone doliny z wielkimi uprawami winogron. Ludzie chodzą po autostradzie i sprzedają w kartonach winogrona. Jedziemy ciągle dalej. Góry są wielkie, na horyzoncie pojawia się Góra Stołowa, widoczna chyba z 70 km. Jesteśmy na miejscu, tam gdzie chciałem wrócić. Ale jak dziwny i smutny jest to powrót w tak fantastyczne miejsce, gdzie kilka lat temu byłem z Piotrkim. Co za paskudny zbieg okoliczności. Cały czas jestem smutny i pełen wspomnień. Po 2 godzinach błędzenia odnajdujemy biuro maratonu. Odbieramy pakiet startowy, szukamy noclegu. Okazuje się, że nocleg zarezerwowaliśmy w dosyć imprezowej, czarnej dzielnicy, w Vivant Hostel. Strach iść po nocy, sklepy za kratkami, ale nie w takich miejscach nocowałem w Indiach, RPA, Tanzanii, Włoszech... Niespodzianka. Noclegu nie ma. Rezerwacja przepadła. Hostel teoretycznie jest, ale to chyba hostel widmo. Trochę inaczej wyglądał w internecie... Wysłaliśmy sms-a do właściciela, że jesteśmy.... Odpisał nam, że bardzo mu przykro, ale wyjechał i nie jest w stanie nam pomóc. No i gdzie nasza rezerwacja i zaliczka.....? Może i dobrze, że nie śpimy w nim. Trochę się z tego cieszymy. Kilka ulic dalej nie jest lepiej, ale za to znajdujemy tu inny, prawdziwy Hostel (Green Elephant) (choć tylko na 1 noc). Co będzie dalej zobaczymy. Okolica jakoś mi się nie podoba. Za oknem wiatr wieje strasznie. Jak tak będzie na maratonie..... Nie wiem co gorsze, wiatr w porywach 50 km/h, czy upał i słońce. Na razie jest i to, i to.

Tak, czy inaczej nie poddaję się i pobiegnę, choć nie będzie łatwo. Poza tym smutno, smutno i jeszcze raz smutno.

Lariam wzięty, wino wypite, jutro o 9 bieg na 5 km pop Centrum Kapsztadu. Jutro też Święto, a my ciągle nie mamy randów, wszystko zamknięte i dalsze szukanie noclegu i tylko 1 dzień do wymarzonego biegu. Muszę dać radę. Teraz nie ma wyjścia!

### **10.04.2009**

Przykra niespodzianka. Karol mnie budzi i zastanawia się dlaczego nie obudziliśmy się o 7. Zauważa, że jego spodnie leżą kilka metrów od miejsca gdzie je zostawił. Sprawdza. Nie ma portfela i telefonu. Sprawdza, czy nie spadły pod łóżko, ale niestety. Ja nie widzę telefonu. No to chyba wiemy co się stało. Okradli nas w nocy. Weszli do pokoju podczas snu. Wyjęli portfel ze spodni, po czym spodnie porzucili, zabrali telefony. Po chwili zauważam ze zdziwieniem: „Gdzie jest mój plecak?”.

Kolejna przeszkoda i problemy. Zniknęły moje ciuchy, strój do biegania i parę innych rzeczy. Policja zawiadomiona. Hostel oczywiście zdziwiony, że coś takiego miało miejsce. Proponują pójść na bazar i poszukać naszych rzeczy, może już są w sprzedaży. Olewamy to. Kontaktujemy się z Polską, prosimy o zastrzeżenie kart i telefonów, prosimy o przelanie kasy na dalszy pobyt i ruszamy dalej. Bieg na 5 km, w którym miałem biec już się dawno zakończył. Zresztą i tak bym nie pobiegł, bo mój strój wyparował. Jedziemy do biura zawodów kupić nowy strój. Nie jechałem 10000 km po to, aby się poddać i nie pobiec, bo nie mam stroju. Kupuję buty, spodenki, T-shirt, skarpety, odżywki. Nie było tanio. Ciekawe jak wytrzymam 56 km biegu w nowych butach. Najwyżej będzie krew. Sprawy załatwione. Jedziemy na Przylądek Dobrej Nadziei (że już więcej nic złego się nie stanie). Przylądek taki jak zapamiętałem. Kolorowy, wietrzny, ale upalny. Cieszę się, że tu przyjechałem po raz drugi – jedno marzenie spełnione.



Wracając wstępujemy do pingwinów na Boulder's Beach. Jest ich kilka. Kilka zdjęć (po zmroku, jak 8 lat wcześniej) i wracamy do Kapsztadu.

Do biegu coraz mniej czasu. Adrenalina narasta. Jedziemy i myślimy gdzie spać. Wracać tam gdzie nas okradli (zły pomysł), szukać czegoś nowego (gdzie?). Trochę nam się nie chce. Jedziemy i widzimy oświetlony stadion (metę jutrzejszego biegu). Robi wrażenie. Jest ciemno. Skręcamy z autostrady. Parkujemy obok innych samochodów. Pytamy, co i jak. Okazuje się, że ludzie będą tu spać. Nie zastanawiamy się. Też tu śpimy. W parku, na parkingu..... Pięknie. Poprzedniej nocy nas okradli, a teraz śpimy na dziko – w zasadzie nie wiedząc gdzie. Idziemy na stadion. Adrenalina coraz większa.

Wszystko oświetlone, zielono.



Wrażenie niesamowite. Kąpiel, kolacja, winogrona od sąsiadów. Przygotowuję ciuchy i proszę sąsiadów o pobudkę o 4.30 (bo nasze telefoniczne budziki budzą już innych...). Niepotrzebnie. Nie śpię całą noc. Po pierwsze po zeszłocnych wydarzeniach, po drugie stres przed biegiem. Napięcie rośnie cały czas.

**11.04.2009**

Z pobudką nie ma problemu, bo nie śpię. Szybkie śniadanko, banany, czekolada, bułka z dżemem. Idziemy. Po chwili wpadamy w tłum biegaczy.



Idziemy na start. Jest ciemno, Nerwy robią swoje. Muszę do Toj-toja. Chyba trzeci raz... Odstaję swoje. Ostatni łyk Powerada, zdejmuję bluzę i idę do sektora startowego C.

Przede mną A i B. Za mną D i E. Ponad 6000 osób na 56 km i kilkanaście tysięcy przed nami na Półmaraton.



Jako nieliczny nie mam zegarka, jak nieliczny w nowiutkich nieściganych ciuchach. Strzał i start. Jeszcze ciemno.



Przez pierwsze 2 km biegniemy szeroką ulicą, późnie3j trochę wężej, ale ludzi bardzo dużo. Biegniemy w dużej grupie. Atmosfera fantastyczna, ciemno jeszcze, bo start był o 6.20. Sprzyja nam pełnia księżycy i gwiazdy. Biegniemy. Wzdłuż trasy ludzie. Biją brawo. Czytają nasze numery startowe i krzyczą: „Go on Robert!”, itp. Bardzo dużo kibiców. Mój numer 40142. Zauważam dopiero tabliczkę z 6 km. Czas chyba 32 minuty. Szybko. Cały czas prosto, po 3 km pod lekka górę, dalej z góry, bardzo długo, aż do Oceanu (pierwszego ;-). Bardzo długo. Dobiegamy do Zatoki w Muizenbergu. Biegniemy wzdłuż Oceanu. Zaczęły się punkty odżywcze, chyba co 2 km, może częściej. Najpierw woda i Coca-cola!!! Później pojawia się Powerade. Punkty zorganizowane super. Ludzie się uwijają i domagają, aby to od nich wziąć picie. Picie w małych torebkach. Żadnych kubków butelek. Świetny pomysł. Gryziesz, wypijasz, wyrzucasz. Szkoda, że ludzie wyrzucają pod siebie. Czuję, że może to działać jak skórka po bananie. Ludzie wbiegają na pełne torebki. Bum i mam prysznic. Ja mam nadzieję, że nie wbiegnę. Biegniemy wciąż wzdłuż zatoki. Jest trochę nierówno. Wieje silny wiatr., ale słońce jeszcze nie przebiło się przez chmury. Odliczam kilometry, przez które będzie można biec bez słońca. Do 16 km jest ok. Mam niezłe tempo. W zasadzie tylko początek był pod górę, później z górki i po płaskim. Skręcamy w stronę Chapman’s Peak – czyli pierwszego podbiegu na prawie 200 m, ale za to chyba najbardziej malowniczą na świecie trasą. Zaczyna się niewinnie, ale jednocześnie pojawia się słońce. Dobiegamy do 21 km. Jeszcze niezły kawał. Czas chyba około 1h 45 minut.. Cały czas się mobilizuję. Ale jest pierwszy kryzys. Na 23 km. Jeszcze przed właściwym podbiegiem pod Chapman’s Peak. Ale postanawiam go przeczekać.. Żel wezmę dopiero po półmetku. Męczę się. Ludzie są wzdłuż trasy niesamowici. Piję woreczek za woreczkiem., coraz więcej Powerade. Dobiegam do półmetka i chyba dopiero teraz zaczyna się właściwa wspinaczka na Chapman’s Peak. Widoki zapierają dodatkowo dech w piersiach. Po to tu przyjechałem. Biegnę, męczę się już strasznie, ale biegnę. Bieg zapiera dech w piersiach dodatkowo i nie wiem co bardziej, czy bieg, czy widoki./ Cieszę się strasznie. Marzenie sprzed 2 lat się spełnia. Z lewej strony zatoka i przepaść, z prawej góry i wiszące nad nami skały. Biegniemy nie obok nich tylko pod nimi, jak pod dachem. Dosłownie nad nami ogromne skały. To chyba dlatego normalnie ta droga jest zamknięta dla ruchu. Są znaki ostrzegawcze o spadających kamieniach, i o tym, że biegniemy tędy na własną odpowiedzialność. Mija kilometr za kilometrem. Jest naprawdę ładnie, a ja widzę, że jestem coraz bliżej mety. Tradycyjnie nie przestaję biec ani na chwilę. Mija 30 km, 31 km. Pojawia się wspaniały widok czterech kilometrów z boczka, po którym na całej jego długości biegają ludzie pod górę. Wspaniały widok.



Szkoda, że nie biegnę z aparatem. Odżywcze punkty tętnią życiem i głośna muzyka. A ja się cieszę, że już niedługo 42 km, potem 50 km, później meta. Ale spokojnie jeszcze kilka kilometrów pod górę.. Chyba znowu dopada mnie kryzys. Wbiegamy na górę na 180 metrów i zaczynamy zbiegać z Chapman's Peak do poziomu Oceanu. Nie jest źle, ale myślałem że będzie lepiej i łatwiej. Biegnę cały czas, 34, 35 km. Problem w tym, że droga jest wyprofilowana. Jak zbiegam to stopy się wykrzywiają. Szukamy najbardziej płaskich kawałków nawierzchni w dół. Muzyka z kolejnych punktów odżywczych gra jakby coraz głośniej. Pomaga. A ja zaczynam myśleć o kolejnym celu. Pojawia się wiatr. Podmuchy mocne. Chwilami mam wrażenie, że mnie przewrócą. Czuję, że nogi już są zmęczone. Ale pomimo to biegnę, widoki wokół pchają mnie dalej.. Myślę, że jak dobiegnę do 42 km to już tylko 14 km i marzenie się spełni. Tylko czy dobiegnę? Czuję się dobrze, chociaż słabnę. Zbiegam w dół. Znowu jest płasko. Ale mam kryzys! Jest chyba 37 km. Truchtam. Wszyscy mnie wyprzedzają. Truchtam, ale biegnę. Postanowiłem cały czas biec, nie zatrzymywać się. W głowie i tak siedzi myśl, że przebiegnę. Przestałem pytać o godzinę. Nieważne jaki mam czas. Nie wiem na jaki czas biegnę. Na pewno już więcej niż 5 godzin. Jak będzie poniżej 6 godzin to będzie świetnie. Czasem myślę, że będzie fajnie zmieścić się w 7 godzinach, ale tak naprawdę liczę na to, że będzie dużo lepiej, że odżyję jeszcze. Łykam kolejny żel, jakieś banany, Powerady. Dobiegam do 42 km. Zaraz podbieg – chyba krótszy niż poprzedni, ale za to na większą wysokość – znowu na około 200 m. Mam siłę. Mało ludzi już mnie wyprzedza. Wbiegam na górę. Tak jak założyłem – bez chwili postoju, bez podchodzenia. Jesteśmy na Constantia Nek 215 mnpm. Na górze znowu muzyka, pełno kibiców. Odzyskuję coraz więcej sił. Czuję się jakbym nie biegał w ogóle pod górę. Fantastyczna atmosfera udziela mi się znowu. Zaczynamy zbiegać. Znowu wyprofilowana droga. Ciężko, ale po 3 żelu na 49 km i kawałku czekolady wstępuje we mnie kolejna nowa energia. Koniec z truchtem już był dawno. Biegnę naprawdę. Po truchtaniu i ciężkości podbiegu ani śladu. Biegnę coraz szybciej. Wyprzedzam kolejnych ludzi, którzy słabną teraz. Ja odzyskuję siły. Wyprzedzam naprawdę dużo osób. Mija 50 km. Ależ się cieszę. Odliczam kilometry. Wiem, że przebiegnę. Teraz już tylko skurcze, skręcenie kostki czy inna kontuzja są w stanie mnie pokonać. Psychicznie jestem niepokonany. Biegnę. Płaczę. Wiem, że się uda. Po prostu wiem. Wspaniałe uczucie. Mijam ludzi. Doping nie ustaje. Biegnę coraz szybciej. 51, 52, 53 km. Zaraz koniec. Oczami wyobraźni widzę siebie na stadionie z uniesionymi rękoma, że dałem radę. 54 km, 55 km. Końcówka. Biegnę jak szalony. Ktoś jeszcze spryskał mi po drodze mięśnie jakimś zamrażaczem przeciwbólowym. Prawie na to nie zwróciłem uwagi. Zostaje 500 m. Widzę stadion. Biegnę. Mijam wszystkich i płaczę w biegu. Łzy ciekną ciurkiem po policzkach razem z potem. Cieszę się jak dziecko. Wbiegam na murawę stadionu zapłakany. Jeszcze 150 metrów. Tłum ludzi, muzyka, spiker mówiący przez głośniki: „there's Robert Gondek from Poland”. Biegnę. Widzę czas. Wiem, że zmieściłem się w 5 h i 45 minut.

Unoszę ręce w górę. Płaczę. Cieszę się. Skakać nie mam siły. Ponad 2 lata biegania. Zrobiłem to, co sobie wymarzyłem dawno temu. Przebiegłem Ultramaraton 56 km w Cape Town. Płaczę, cieszę się, Cieszę się, a jednocześnie wiem, co stało się dwa dni wcześniej i tym bardziej się cieszę, że pomimo wszystkich przeciwności, chorób i tragicznych okoliczności zrobiłem to, po co przyjechałem. Cieszę się płaczę z radości, ale płaczę też ze smutku, że nie powiem tego Piotrkowi. Ale on pewnie o tym już wie....  
Zrobiłem to!



A tyle było przeszkód. Myślę, żeby zadzwonić do Polski i podzielić się tym. Odbieram medal, myślę czy w Polsce śledzili jak biegnę w internecie, czy wierzyli że przebiegnę. Jestem szczęśliwy, ale strasznie smutny.  
Kąpię się, robimy ostatnie zdjęcia, wyjeżdżamy. Mam dobry humor, choć ciągle myślę o Piotrku. Cały czas mam nadzieję, że śmierć Piotrka to sen...  
Jedziemy do miasta. Pomimo skurczy jakoś prowadzę samochód. Po lewej stronie drogi.



Jedziemy na Waterfront.



Zwiedzamy, chodzimy (choć ja nie nazwałbym tego chodzeniem). 56 kilometrów dało mi jednak w kość pewnie na kilka dni. Oglądamy, robimy fotki, zakupy. Załatwiliśmy już kasę. Myślimy co z kolejną nocą. Szukamy noclegu na Sea Poincie. Nie ma. Szukamy kwater – czegokolwiek. Nie ma. Wyjeżdżamy z Cape Town na trasę biegu. Znajdujemy w końcu nie najtańszy nocleg w Fish Point. Fajnie. Idziemy na kolację z owoców morza.. Pochłaniam ile wlezie, piję piwo zjadam czekoladę. Cieszę się. W Polsce już wiedzą, że przebiegłem. Wiedzą też wszyscy, że jest ze mną ograniczony kontakt, w zasadzie go nie ma, bo nie mamy telefonów. Mam też nowe wiadomości o Piotрку. Fajnie mieć w Polsce osoby, które mnie wspierają i na które można liczyć. W złych i dobrych chwilach. Szkoda, że jest ich o jedna mniej. Wracamy spać. Zasypiam jak dziecko. Wszystko boli.

**12.04.2009**

Budzę się. Dalej boli. Dalej się cieszę z biegu i spełnienia marzeń, ale dalej jestem smutny. Widok z domku super. Zatoka, góry, Ciepło. Zjadamy śniadanko. Jedziemy znów na pingwiny. Tym razem widzimy ich bardzo dużo i w świetle słonecznym.



Robimy masę zdjęć. Jakieś dziewczyny biorą nas za ojca i syna ;-). Wracamy do Kapsztadu. Chcemy na Górę Stołową, ale strasznie wieje i nie działa kolejka. Szkoda. Wracamy na Waterfront. Robimy zakupy i wyjeżdżamy w stronę Stellenbosch – na wino. Mijamy slamsy. Robią wrażenie przygnębiające. Lądujemy w Stellenbosch (winnice już były zamknięte) w Backpackersach. Śpimy pod namiotem. Trochę się boimy o rzeczy, ale wypijamy 2 winka i robimy w namiocie konstrukcję zabezpieczającą nasze rzeczy (moich dużo nie zostało). Nie mam śpiwora. Śpię w tym co mam i w tym co ma Karol, owinięty różnymi rzeczami. Mam już 2 maski. Trochę tu drogo, ale pamiątek muszę mieć dużo – skoro nie mam własnych rzeczy ;-). Jutro jedziemy do winnic i wyruszamy w stronę Namibii. Jeszcze pewnie będziemy tęsknić za 30 stopniowym upałem i zielenią RPA, bo pewnie w Namibii jest cieplej... Mam nadzieję, że limit nieszczęść na ten wyjazd już się wyczerpał.

**13.04.2009**

Pobudka. Nie okradli nas. Ale zmarzłem niesamowicie. Spałem w 3 polarach z owinięty mi kurtką nogami. Ale z zimna nie mogłem spać. Czuję, że będę chory. Zbieramy mokre od porannej rosy rzeczy, pakujemy się i jedziemy. Wstępujemy w mieście do sklepu po śpiwór albo koce dla mnie. Nic z tego, Kupujemy tylko żarcie i leki. W Stellenbosch czujemy się w końcu bezpiecznie. Spokój. Nikt się nie śpieszy. Jest ładnie, bardzo ładnie. Białe parterowe domki z werandami. Masa zieleni. Naprawdę ładnie. Moglibyśmy tu posiedzieć ze dwa dni.



Wypijamy poranną kawę w jakiejś knajpce i jedziemy do winnicy Neethlingshof ze wspianym szpalerem drzew wzdłuż drogi do niej prowadzącej. Drzewa pochylone są od wiatru w jedną stronę i wyglądają jakby od każdej strony otaczały drogę jak tunel. Byłem

tu 8 lat temu. Idziemy do winnicy. Karol testuje 6 winek, ja tylko trochę. Prowadzę przecież. Jedno mi smakuje, ale reszta nie bardzo. Nic nie kupuję. Jedziemy do kolejnej winnicy – Boschendal. Karol znowu testuje, ja znowu trochę. Siedzimy pod wielkim rozłożystym drzewem podobnym do dębu (bo podobne do żołędzi coś spada z niego). Pod drzewem jest bar winny i stoliki. Jest ładnie, cicho, spokojnie i przyjemnie ciepło. Taka sielanka.

Wypijamy, przegryzamy serkiem i jedziemy dalej. Jeszcze wstępujemy do Franschoek.



Nic specjalnego. Po drodze ciągną się winnice. Cała masa. Można by jeździć od jednej do następnej i smakować. Wyjeżdżamy jednak w stronę Namibii. Do pokonania ponad 700 km. Krajobraz zmienia się co kilkadziesiąt kilometrów. To góry, doliny, półpustynia, to znowu piach, skały,, wypalone trawy, uprawy winogron, cytrusów. Miasta spotykamy coraz mniejsze i coraz rzadziej. Zjadamy po drodze jakieś mięso z byka z torebki. Na drodze coraz luźniej. Widać, że jedziemy w mniej zaludnione rejony. Jedziemy około 600 km do Springbok. Znajdujemy niezły, prawie pusty camping. Znowu czujemy się bezpiecznie. Wstaje księżyc. Pełni już nie ma. Ale gwiazd mnóstwo. Tylko w Afryce tak krystalicznie czyste niebo z ogromną liczbą gwiazd można zobaczyć. Wokół cisza, czasem przejedzie niedaleko jakiś samochód. Kolejna bezchmurna noc z tysiącami gwiazd. Śpimy w samochodzie. Znowu zimno, ale nie tak bardzo jak w Stellenbosch. Wytrzymuję do rana.

**14.04.2009**

Zbieramy się. Jedziemy do miasta. Znowu zakupy. Kupujemy w końcu winogrona – przepyszne (ogromne – prawie jak śliwki - w Polsce takich nie widziałem). Kupujemy też coś o nazwie Paw Paw (takie coś melonowate – niezłe – zjedliśmy wieczorem nad kanionem Fish River popijając winkiem). Znajduję w jakimś tanim sklepie PEP w końcu

coś co będzie moim śpiworem. Kupuję dwa najtańsze koce – tandety, jakieś inne rzeczy, które porzucę przed wylotem do Polski, ręcznik, jakieś ciuchy. I w drogę. 120 km po górkach i jesteśmy na granicy. Z RPA wydostajemy się bez problemu. Po drodze robimy zdjęcie na granicznej Orange (Oranje) River. Już zapomnieliśmy jak wygląda przekraczanie granicy samochodem. Przy wjeździe do Namibii zatrzymuje nas policjant. Karol po zdjęciu zapomniał zapiąć pasy (podjeżdżamy kilkadziesiąt metrów). Widzi też, że nie mamy naklejonej tabliczki z kodem kraju, z którego jest samochód, czyli ZA na tyle samochodu. Szykuje dla nas mandat. Każe przejść odprawę paszportową i do siebie wrócić. Mówi, że wyjaśni nam przepisy panujące w Namibii. Ładnie się zaczyna. Odprawa przebiega szybko, choć w opinii celniczki nasze wizy są podejrzane.. Drugi celnik kilka razy ją zapewnia, że wszystko jest ok i w końcu wstemplowują nam co tam trzeba do paszportu. Musimy jeszcze zapłacić, za używanie dróg i wracamy do policjanta. Mówi co i jak, że naklejka musi być. Postanowiliśmy go przekonać. Mówimy, że nas okradli itd., itp., pokazujemy papierek który dostaliśmy od policji w Kapsztadzie (nie wypełniony – in blanco), ale za to z pieczęcią działająca cuda.. Pr4zeszło. Policjant w zamian informuje nas, że powinniśmy wpłacić dotację na klub sportowy. Wyciąga zeszyt. W zeszycie wpisane są nazwiska „darczyńców” i kwoty dotacji. Dotacja.... Wpisujemy Robert Gondek – 50 randów. Dajemy papierek. Policjant nam dziękuje – my jemu też. Pytamy jeszcze , gdzie na wszelki wypadek możemy kupić naklejkę, żeby kolejny policjant nie kazała nam dotować klubów sportowych. Mówi o następnej stacji Shella, ale i o tym że dobrze by było mieć wino w torbie dla pracownika stacji....Pewnie trzeba dać kolejną łapówkę żeby dostać naklejkę. Zerka na nasz bałagan w bagażniku. Każe jechać . Na stacji nikt nie chce się przyznać do naklejek, ale w końcu dogaduję się ze sprzedawczynią. Drukuje na atramentowej drukarce na zwykłej kartce A4 przygotowany wzór napisu ZA w kółeczku. Wycina nożyczkami i mi daje. Nic nie płacę. Jesteśmy w Namibii. Krajobraz zmienia się natychmiast po przekroczeniu granicy i rzeki Orange od razu. Ciemnoszary piach, żużel, półpustynia. Droga donikąd. Samochodów jeszcze mniej. Domów po drodze w ogóle. Jedziemy 10 km do Gronau – pierwszego miasta (nazwałbym je raczej wioską z polnymi drogami). Mijamy góry. Krajobraz zmienia się cały czas. To łąki złotych traw kołyszących się na gorącym wietrze, to piach z porozrzucanymi kamieniami, czasem więcej roślin bardziej odpornych na suchość klimatu.



Na horyzoncie góry. Pustkowie niesamowite. Cisza wokół, wiatr i suchy upał. Jest ładnie. Jedziemy do Fish River Canyon. Każda szosa w bok to szuter szerokości dwupasmowej autostrady z pobocznymi. Szuter prawie idealnie równy. Jedziemy prawie 100 km/h. Niewiele mniej niż po asfalcie, po którym jeździmy 120 do 150 km/h. Czasem występują lekko podmyte drogi, na których trochę zwalniamy, ale i tak daje się szybko jechać.

Droga fajna. Krajobrazy przepiękne. Skały, góry, samotne drzewa. Pora deszczowa, która właśnie trwa, nie wiem gdzie się podziała. W żadnej rzece nie ma wody, a ślady nigdzie nie wskazują na niedawno płynącą wodę. Podejrzewam, że pora ta może nadejść w najmniej spodziewanym momencie. Gdyby nadeszła to nasz terenowy Golf 2 miałby kłopoty. A tak spisuje się świetnie. Wjeżdżamy do Fish River Canyon Parku. Pojawiają się ostrzegawcze znaki o zebach, koniach strusiach, antylopach. Widzimy dzikie konie, co wyglądają jak pomieszane z osłem konie. Nazywamy je osłokoniami. Mijamy antylopy, camping z wrakami starych samochodów. Dojeżdżamy do Bobas – wjazdu do właściwego Fish River Canyonu. Po 10 km ukazuje się zapierający dech w piersiach kanion. Kilkaset metrów w dół widać wspaniale wyrzeźbiony przez wzbierającą w porze deszczowej rzekę Fish kanion. Ale teraz widać, że nie ma dużo wody. Po Orange to druga rzeka, w której jest woda.



Spędzamy tam ze 2 godziny delektując się pięknym widokiem, zachodem słońca nad kanionem, robiąc masę zdjęć. Zjadamy kolację, czyli jakieś kiełbaski, Paw Pawa. Popijamy pysznym winkiem. Jakies ptaki kradną nam kawałki owoca i chleba. Nie boją się nas w ogóle. Leciutko wcięci wracamy. Robi się momentalnie ciemno – jak to w Afryce. Szutrem jedzie się super. Przez drogę przebiegają różne zwierzęta., antylopy, dzikie króliki, szakale, czy hieny. Jakiś stwór przypominający miniaturkę kangura długo podskakuje nam przed samochodem. Nie wiem cóż to za jeden. Wiadomości w radiu podają, że na północy jest zagrożenie malarią, że kogoś zabili, że ludzie po powodzi koczują bez dachu nad głową pod gołym niebem. No i coś nam się ociera o uszy, że nasza godzina z zegarka niekoniecznie zgadza się z właściwie tu panującą. Dojeżdżamy znowu do Gronau. Potwierdzamy, że czas jest przesunięty, czyli 19 to 18. Czyli jeszcze wcześniej będzie zachód słońca. Nocujemy na kempingu pośród piachów. Parkujemy pod dziwnym drzewem, które bombarduje nasz samochód w nocy malutkimi owocami. Na dobranoc pijemy smacznego Springboka i 6% winko z kapslowanej butelki. Atakują nas komary. Musimy spać w zamkniętym szczelnie samochodzie. Jest gorąco. Noc tym razem ciepła. Ale cieszę się, że na wszelki wypadek mam już koce.

**15.04.2009**

Rano zjadamy śniadanko na ciepło i wyjeżdżamy w stronę Lúderitz. Cieszę się, że przyjechałem do tego najrzadziej zaludnionego kraju w Afryce. To niesamowite wrażenie podróżować po bezkresnych pustkowiach, podziwiać przepiękne krajobrazy i nie spotykać przez dziesiątki kilometrów i całe godziny żadnych ludzi, żadnych samochodów, żadnych domów. Niezapomniane wrażenie. Droga do Lúderitz lekko nużąca, ale widoki są przepiękne. Na drodze mijamy setki dziwnych, ogromnych ni to karaluchów, ni to pajaków, przechadzających się po asfalcie. Obrzydlistwo. Cała ich masa ginie pod kołami samochodów, ale drugie tyle przychodzi zjadać resztki pozostałych. Pustkowiec ciągnie się dalej. Dojeżdżamy do krzyżówki w mieście Keetmanshoop. Miasto to znowu dużo powiedziane. Kilka skrzyżowań asfaltowych dróg, kilkanaście szutrowych ulic, kilkadziesiąt domów, sklepów i największa ilość stacji benzynowych przypadających na mieszkańca w całej Namibii. Nic ciekawego. Jedziemy na zachód na wybrzeże Oceanu Atlantyckiego z pierwszą wizytą nad namibijskim wybrzeżem. Cel – Lúderitz. Znowu długie kilometry samotnej jazdy. Krajobraz po 100 km zaczyna się zmieniać. Wjeżdżamy w coś w rodzaju kanionu, zaraz za Fish Rover i długo jedziemy w dół. Otaczają nas łąki traw.



Kilkadziesiąt kilometrów w każdą stronę same łąki. Z gór padają na nas ostre, ale suche promienie słoneczne. Zrobiło się bardzo ciepło. Spokój, lekki wiaterek. Za miejscowością Aus łąki ciągną się dalej. Docieramy do sztucznego wodopoju dla dzikich koni, żyjących na okolicznych łąkach. Mają gdzie biegać. Stoją jednak w bezruchu, leżą. Lenistwo na całego. Sielanka. Po 15 km znikają łąki... pozostaje sama ziemia, przechodząca w sam piach w kolorze pomarańczowym. Znaki ostrzegawcze o piachu sygnalizują, że wydmy mogą blokować jezdnię.



Tak się jednak nie dzieje. Ale w powietrzu widać unoszący się piach, a wiatr zwiewa go z jednych wydm na inne. Znaki ostrzegają też przed szakalami. Przedzieramy się do Lúderitz. Lądujemy nad oceanem. Miasteczko ładne, ale malutkie. Spodziewałem się czegoś większego. Wygląda jakby dopiero co wymarło. Mało ludzi. Nikt się nie śpieszy. Miasteczko niewiele większe od na przykład Pizsa na Mazurach. W ciągu 10 minut objeżdżamy wszystkie asfaltowe i szutrowe drogi w mieście. Jedziemy na reklamowaną Agate Beach. Znajdujemy kilka kamieni. Może to rzeczywiście agaty? A może zwykłe kamienie? Uznajmy, że jednak agaty. Na plaży śmierdzi i jest brzydko. Mimo to czekamy na zachód. Na horyzoncie chmury, które nocą zbierają się nad miastem. Po zachodzie idziemy do jednej z dwóch otwartych knajp na pysznego sznycla, jakąś rybę i kalmary. Pyszne. Popijamy winkiem i jedziemy na kemping. Brama zamknięta. Ale nieśpiesznym krokiem wyłania się strażnik. Po krótkiej rozmowie wpuszcza nas na Shark Island i za nami zamyka bramę. Na kempingu jest kilka osób, ale i tak wygląda na wymarły, jak całe miasto. Sąsiedzi palą ognisko, a my rozbijamy namiot. Ponieważ nie możemy wbić szpilek w podłoże, którym jest skała, więc namiot przyczepiamy do kamieni, samochodu i skalnego murku.. Wieje dość silny wiatr. Biwakujemy nad samą zatoką, przesłonięci tylko murkiem. Z drugiej strony jakieś skały. Już dawno jest ciemno, więc dopiero rano zobaczymy jak wygląda ten kemping w rzeczywistości, za który pewnie zapłacimy przy wyjeździe z niego. Oby kamienie wytrzymały wiaterek i żeby moje afrykańskie koce dały mi ciepło w nocy. Jutro jedziemy do Ghost Town (Kolmanskop), a później do Namib Naukluft National Park. Czeką nas dzień pełen szutrowych dróg, a może i kilka dni jeszcze większych bezdroży. A Lúderitz, jako jedno z największych miast w Namibii nie jest moim zdaniem większe niż Hel.

**16.04.2009**

Obudziliśmy się zgodnie z planem. Kemping okazał się ładnie położony, na małym półwyspie wśród skał. Pierwszy cel – Ghost Town, czyli Kolmanskop.



To miasto dawnych poszukiwaczy diamentów, całkowicie opuszczone w 1956 roku. Od tego czasu systematycznie zasypywane przez pobliskie piachy. Robi wrażenie. Piach jest wszędzie. Wdziera się przez okna, drzwi, pękające pod jego naporem ściany. Powybijane okna. W nocy pewnie tu straszy. Kolejny cel – półwysep i Diaz Point. Jedziemy po coraz bardziej szutrowych drogach, kamieniach, skałach. Półwysep to przede wszystkim zastygła lawa, czasami bliżej brzegu oceanu zmieszana z naniesionym piachem. Półwysep bardzo rzadko zarośnięty jakąś śladową roślinnością. Niebo jest lekko zachmurzone od strony oceanu, a jednocześnie świeci bardzo ostre, jasne słońce. Nie ma upału. Na półwyspie największe wrażenie robi na nas Diaz Point z odrestaurowaną kilkusetletnią latarnią morską, z okoliczną knajpą i punktem widokowym na skalnej wysepce połączonej z lądem drewnianym mostem. Skalna wyspa smagana potężnymi falami oceanu jest punktem widokowym na kolejną wysepkę – skały, na której wylęgają się foki. Runda dookoła półwyspu prowadziła przez kilka lagun i plaż. Na jednej z nich spokojnie przechadzały się flamingi, które skutecznie przepędziłem podchodząc blisko i robiąc im zdjęcia.





Niedaleko innej plaży słone jezioro. Chodząc po nim ma się wrażenie, że chodzi się po zamrażniętym lodzie (bo jest białe, chwilami popękane). Lizałem je – nie jest słone. No i wrażenie robią drogi, którymi podróżowaliśmy do fiordu, czyli nad jakąś zatokę pośród skał i kamieni. Jak na nasz samochód były to nie koniecznie właściwe drogi, ale daliśmy radę i nic się nie stało. Wyjeżdżamy z okolic Lúderitz, ładnych, ale chyba nie staną się one nigdy żadnym kurortem, bo woda zimna i jest bardzo mglisto. Może dlatego, że jak nam jednak powiedziano jest zima, (a myśleliśmy, że jesień). Nie sądzę, żeby okolice te zaludniały się bardziej latem. Wyjeżdżamy senną drogą do Aus i ponownie skręcamy na szutry – drogi kategorii C i D. Szutry SA szerokie i nie tak nudne jak asfalt. Jedzie się wspaniale. Pędzimy ponad 100 km/h przez 210 km mijając 7 samochodów, w tym przez ostatnie 120 km żadnego. Mijamy znowu przepiękne słomkowe łąki, po których chodzą stada krów, strusi i innych zwierząt. W tle widnieją góry, które wyglądają jak kopie Góry Stołowej z Kapsztadu. Wjeżdżamy do bardziej zielonej doliny. Robi się kolorowo. Wszędzie słyhać śpiew ptaków, a kolory zieleni SA najróżniejsze. Jest coraz więcej drzew. Widać, że okolica bardziej żyzna i bogatsza. Dojeżdżamy do Helmeringhausen. Tankujemy na wszelki wypadek benzynę, kupujemy piwko i suszone pyszne mięso z antylopy, którym zajadamy się przez całą dalszą drogę. Ku naszemu zdziwieniu w miasteczku droga jest asfaltowa. Ale tylko w miasteczku. Pędzimy dalej C14 po szerokich szutrach jakąś dolina otoczona górami i niskimi krzaczkami. W tle na czerwono wśród chmur zachodzi słońce. Po drodze mijamy 3 zaprzęgi konne (ośle), kilka stad antylop i znów skręcamy w trochę gorszą drogę D..... Do zamku w Duwisib. Jeszcze jakieś 45 km. Szybko robi się ciemno. Droga gorsza, bo D, nie pozwala już na jazdę szybszą niż 50 km/h. Sporo kamieni, tarka. Mijamy ze 2 domy i po 30 km w ostatniej chwili skręcam kierownicą żeby nie wjechać w przepęczająca przez drogę żmiję. Jadę trochę wolniej. Droga robi się bardziej piaszczysta. Czasami zarzuca naszym samochodem, ale dzielnie walczymy po ciemku z kilometrami. Nagle wjeżdżamy w piach. Samochód zarzuca z boku na bok. Powoli wytracamy prędkość, ale jedziemy. Wolniej i wolniej, aż w końcu stajemy w piachu. Ciemno. Wychodzimy z samochodu. Daleko do twardszej drogi nie jest. Nie wbiliśmy się też głęboko. Pod koło podkładamy wycieraczkę samochodową, ale nie wystarcza. Kopiemy się głębiej. Przesuwamy wycieraczkę. Znajduję kamień. Oczyszczam drogę przed drugim kołem i podkładam kamień. Próbujemy ruszyć z 2 biegu. Nie dajemy rady. Starujemy z 1. Karol pcha, samochód się męczy, ale bardzo powoli, w ogromnych tumanach kurzu wydostajemy się. Karol cały w piachu. Wszystko w kurzu. Oby więcej takiego piachu nie było, bo nocleg w zakopanym samochodzie niewiadomo gdzie może nie być przyjemny. Jadę ostrożnie. Droga robi się dużo lepsza. Mieliśmy chyba szczęście. Zaczynają się pagórki. 50 metrów w dół, pagórek, 50 metrów w dół, pagórek – i tak przez kilkanaście kilometrów. Wjeżdżając na pagórek – zaraz za nim czają się sowy,

które uciekają w popłochu przed światłami naszego samochodu. Dojeżdżamy do zamku, bo widzimy światła. Na kokpicie naszego pojazdu zapala się nagle lampka ładowania. Nic nowego. Zapala się zawsze gdy uruchamiamy nasz samochód. Wiem, że coś jest nie tak. Nagle widzę, że szybko rośnie temperatura wody. Po chwili zapala się lampka ostrzegawcza. Rozlega się dźwięk. Stajemy. Wyłączam silnik. Zostało 300 metrów do zamku i noclegu. Czekam chwilę. Widać ślady wyciekającej wody za samochodem. Otwieramy pojemnik z wodą, który trochę wybuchną i wylatuje para i wrzątek pod ciśnieniem. Na szczęście nikomu nic się nie stało. Dolewamy wody i postanawiamy spróbować dojechać do kempingu. Ruszamy. Lampka ładowania nie zgasła. Opadła tylko temperatura wody. Ale nie na długo. Zaczyna znowu szybko rosnać. Docieramy jednak do kempingu. Wyłączamy silnik. Mówimy co się dzieje i że potrzebujemy noclegu. Otwieramy maskę Właściciel kempingu szybko znajduje przyczynę. Nie mamy paska od alternatora. Musiał się zerwać po uderzeniu jakiegoś kamienia niedaleko od kempingu, bo niemożliwe żeby to się stało 30 km wcześniej gdy się zakopaliśmy. Właściciel lituje się nad nami i oferuje pokój za 200 dolarów namibijskich, a następnego dnia obiecuje nam pomoc przy samochodzie – taka mamy nadzieję. Ładujemy rzeczy na jakiegoś pickupa. Nasz samochód porzucamy przy recepcji. Jedziemy kilkaset metrów na pacy samochodu do domku. W domku nie ma elektryczności. Wszystko oświetlamy 3 nastrojowymi lampkami naftowymi – 2 pokoje, kuchnię i łazienkę. Na szczęście są łóżka i prysznic. Przygoda niezła. Cieszymy się i dziwimy zarazem, że samochód zepsuł się tuż przy kempingu, a nie na przykład podczas zakopania w piachu. Dobrze też, że z tego piachu się wykopaliliśmy. A swoją drogą jesteśmy 80 km od najbliższego miasta (czyli kilku domów). I chyba możemy liczyć na pomoc miejscowych. Tylko co będzie, jak nie wykombinujemy paska, albo jak zepsuło się coś jeszcze? Windhoek jest jakieś 500 km dalej. Pozostaje się cieszyć, że jesteśmy na kempingu w środku Namibii, z dala od innej cywilizacji i nie na środku drogi z dala nawet od kempingu. Wtedy byłoby dopiero ciekawie. Co przyniesie jutro? Zobaczymy. Musimy naprawić samochód. Oby się udało i nie trwało zbyt długo. W zasadzie znowu nie wiemy zbytnio gdzie śpimy. Za oknem chodzi jakiś zwierz. Zepsuty samochód daleko. A my w świetle lamp naftowych, przegryzając suszoną antylopę, popijając winkiem przeżywamy dzisiejszą przygodę, lekko obawiając się co będzie w nocy na bezludziu i co chodzi za oknem.....



**17.04.2009**

Imieniny.

No i noc była z wrażeniami. To znaczy dla mnie. Dopadł mnie tak wielki strach, że ktoś na tym pustkowiu się włamie do naszej chatki, że chyba jeszcze nigdy tak się nie bałem.

Po długich męczarniach zasnąłem. Ale sen był straszny. Dusili mnie. Nie mogłem krzyczeć. Próbowałem się wyrwać. Prawie jak na jawie. I nagle kopnąłem z całych sił w ścianę i się obudziłem złany potem, z sercem walącym jak oszalałe. Na szczęście to był sen, ale bałem się strasznie. Obudziliśmy się wcześniej żeby załatwić sprawę samochodu. To chyba cud, że pasek zerwał się 300 m od kempingu i zamku z 1908 roku. Właściciel przyniósł kilka pasków i narzędzia. Wspólnie z jeszcze jednym namibijczykiem, przy pomocy łomu i kilku kluczy, kładąc się pod samochodem na namibijskiej fladze wymieniliśmy pasek.



Świszczy strasznie. Ciekawe ile wytrzyma. Na śniadanko kawa z ciastkiem i poranna wizyta na zamku (tanio nie było – bilet ok. 30 zł – ździerstwo). Kilka fotek różnych ptaków i strusia, który chyba odtńczył przede mną dziwny taniec bojowy albo godowy i w drogę. Tym razem szutry były okropne, droga paskudna. Wlekleśmy się godzinami z prędkością 20 – 40 km/h po strasznych wertepach. Dobrze, że chociaż widoki były piękne. Znowu góry, łąki, doliny, skały, stada antylop, strusi, jakiś wielki ptak (wyglądał jak kondor). Po morderczej drodze docieramy do Sesriem Canyon. Spodziewałem się, że będzie tu drogo, ale trochę jednak jestem zaskoczony cenami. Wychodzi nam ponad 150 zł na głowę i to najtańsza opcja spania w okolicy. Przed spaniem poza kempingiem ostrzegają, bo jest niebezpiecznie. Plącze się dużo zwierząt, żmij i innych gadów, skorpionów i szakali. O szakalach to nawet są plakaty, mówiące że są zagrożeniem i proszące o uwagę i nie zostawianie niczego, nawet kłapek poza namiotami i samochodami. Może nas nie pogryzą. Poza polem namiotowym ceny są z kosmosu: 200 lub 500 zł za noc. Koszmar. Nie dziwne, że jedynymi zwiedzającymi i prowadzącymi knajpy i wszystkie inne lokale SA niemieckojęzyczni biali. Czarnych mieszkańców jest zdecydowanie mniej, a jeżeli są to wykonują czynności związane z obsługą klientów, sprzątaniem, pilnowaniem itp.. Mam nadzieję, że na północy Namibii będzie inaczej i rdzenni mieszkańcy będą tam w większości. Wjeżdżamy do Namib Naukluft National Park (Sesriem Canyon) na 2,5 h przed zamknięciem, ale permit mamy do południa następnego dnia. Ku naszemu zdziwieniu pojawia się asfalt, wzdłuż całego wąwozu (to kolejna asfaltowa droga nigdzie). Trochę to dziwne, że na środku pustyni jest 62 km asfaltowej drogi. Ale to może po to ceny są tak wysokie. Jedziemy kilkadziesiąt kilometrów równiną, otoczoną górami. Góry przemieniają się w czerwone pomarańczowe ogromne wydmy piaskowe, wspaniale oświetlone przez powoli zachodzące słońce. Widoki przepiękne. Czerwone 200 metrowe wydmy, pojedyncze wyschnięte drzewa, łąki, antylopy. Dojeżdżamy do Dune 45, najczęściej fotografowanej, fantastycznej. Robimy masę zdjęć samej wydmy, z wyschniętymi drzewami, z nami. Jednocześnie zachodzi

słońce, chyba najładniej jak do tej pory. Jak na miejsce, w którym obchodzę imieniny to miejsce idealne. Najładniejsze miejsce, w którym obchodziłem.



Piasek miąłki. Ręce farbują na pomarańczowo. Trochę w kolorze pomarańczowym wracamy do naszego świszczącego i dzielnego Golfa i wracamy pędem na kemping przed zamknięciem bram i początkiem żerowaniem szakali.



Wrócimy tu następnego dnia przed wschodem słońca. Kupujemy niezbędne rzeczy. Na kolacje wciągamy steki, pijemy wino jak zawsze, pijemy moje zdrowie na imieniny i idziemy spać z szakalami pod nieprawdopodobnie rozgwieżdżonym niebem. Od tygodnia nie mieliśmy kontaktu z Polską. Musimy dać znać, że wszystko idzie ok, choć dobrze tak zapomnieć o wszystkim, oderwać się od rzeczywistości i żyć na pustkowiu. Chociaż trochę tęsknimy jednak. Zbieg okoliczności, że przed wyjazdem myślałem jak fajnie było kiedyś jak nie było komórek i nikt nie wiedział co się dzieje na wyjeździe i było można później opowiadać po powrocie o wszystkich przygodach. Można było się stęsknić. No i zbiegiem okoliczności nie mamy komórek i kontaktu. Czyli będzie co opowiadać. Dobrze, że znaleźliśmy zagubiony larami, bo jadąc w rejon z bardzo dużym zagrożeniem

malarycznym po powodziach mogło by być słabo. W nocy miałem spotkanie ze skorpionem. Dziwne zwierzę. Rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę.

**18.04.2009**

Pobudka o 5 rano żeby zdążyć na wschód słońca na koniec kanionu – do doliny Sossusvlei. Wracamy tam żeby zobaczyć to, czego nie udało się zobaczyć poprzedniego dnia. Pędzimy 60 km odcinkiem asfaltu na środku pustyni. Udało się. Bierzymy plecaki i wyruszamy w ostatnie 5 km piechotą, bo Golf w piachu niestety nie da rady. Po 1 km wschodzi słońce.



Robi się coraz cieplej. To dopiero początek tego, co nas czeka. Głęboki piach nie ułatwia sprawy. W miarę jednak dziarskim krokiem docieramy do celu, po drodze pozbywając się długich spodni bluz z nocy.



Docieramy do końca doliny. Z trzech stron otaczają nas wspaniałe wydmy, wznoszące się ponad nami na wysokość ponad 200 metrów. Robi się coraz cieplej. Stoimy u ich stóp

podziwiając nieprawdopodobne widoki. Stoimy w ogromnym wyschniętym jeziorze z popękaną od upału ziemią. Ruszamy na wydmy. Widoki coraz piękniejsze. Wszędzie pomarańczowy piach, wspaniałe grzbiety wydm i strome zbocza. Kolorystyka wokół przepiękna. Wędrujemy po wydmach ze 2 godziny a może i dłużej. Upał coraz większy, ale jeszcze go dobrze nie czujemy, bo jest rano. Robimy dziesiątki, może setki zdjęć. Spod naszych stóp uciekają jaszczurki i inne robaki. Jesteśmy pod wrażeniem.



Zbiegami z wydm do ich podnóża. Zostały nam 2 godziny na opuszczenie doliny, do przejścia 5 km i do przejechania 60 km. Ruszamy szybkim krokiem. Spod nóg tym razem uciekają polne myszy. Mijamy nory pustynnych gryzoni. Upał staje się nie do wytrzymania. Idziemy coraz wolniej. Żar leje się z nieba, a to dopiero 10 rano. Pot spływa z czoła ciurkiem. Śmiejemy się docierając do samochodu, że to fatamorgana.. Jesteśmy bardzo spragnieni. Wypijam litr soku duszkiem. Pijemy jeszcze dwa piwa. Pustynia to jednak wyczerpujące miejsce, a my tylko trochę tego doświadczyliśmy. Bierzemy kąpiel na kempingu i już czujemy się rześko. Ale mamy chyba najcieplejszy dzień jak do tej pory. W końcu jesteśmy na środku pustyni. Przed nami 300 km szutrów. Staramy się dziś dojechać do oceanu do Walvis Bay. Droga pod psem. Szuter, koleiny, piach, kamienie. Wlecemy się 30-40 km/h. Przekraczamy zwrotnik koziorożca. Nagle wjeżdżamy w całkowicie odmienny krajobraz. Delikatne wzgórza, pofałdowane pagórki. Skąd tak różnorodne widoki. Zadziwia nas to strasznie. Przekraczamy koryto rzeki Gaub. Wjeżdżamy znów w całkowicie inny świat. Nagle, w samym środku pofałdowanego w niecodzienny sposób terenu pojawia się 2 km odcinek asfaltu i znowu szuter. To jakiś eksperymentalny odcinek chyba. Widoki cały czas wspaniałe. Po chwili znowu zmiana. Tym razem ostre skały. Przejeżdżamy ze dwa razy przez koryto rzeki Kuiseb, to znowu jedziemy wzdłuż tej rzeki. Miejscami droga jest całkowicie podmyta przez rzekę (to znaczy wody nie ma, ale kiedyś była podmyta). W końcu wydostajemy się z tych zadziwiających dolin, które ku naszej radości uprzyjemniały nam podróż. Jedziemy przez 120 km równą prostą jak drut drogą przez jakąś równinę. Nie spotykamy żadnego domu, ani samochodu. Znowu byliśmy nigdzie. Ale to robi wrażenie. 120 km równą, prostą, szutrową drogą w stronę zachodzącego słońca z prędkością 100 km/h. Po zmroku docieramy do Walvis Bay. Na nocleg wybieramy kemping na Long Beach kilka kilometrów za miastem. Kemping ogromny – jesteśmy jedynymi gośćmi. Co się dzieje z turystami?

**19.04.2009**

Śpimy znowu krótko – to znaczy w zasadzie długo, ale wstajemy wcześniej). Przyzwyczailiśmy się do wstawania około 7 – 8 rano i spania od godziny 21. Ciemno jest

już o 18. Jedziemy na Dune 7 – miejscowy ośrodek sandboardingowy. Jest mgliście i trochę chłodno. Wielka wydma piachu, palmy i nic. Jedziemy na zakupy. Dzwonimy do Polski. Dajemy znak, że żyjemy i jedziemy do Swakopmund. Bardzo ładne miasto, czyste, kolorowe. Widać niemieckie wpływy. Kupujemy kilka pamiątek na targu. Załatwiamy permit na Welwitschia Road. Jutro musimy wrócić do miasta po permity na Skeleton Coast i do Etoshy. Robimy zapasy, kupujemy kiełbasę na ognisko i jedziemy do Welwitschia na piknik i nocleg. Dostyc nudna droga i bardzo nierówna. Po drodze robi na nas wrażenie Moonlight Landscape, wspaniale pofałdowane grzbiety wzgórz i gór widziany z góry, poprzecinane korytem rzeki Swakop.



Później długo, długo nic. Przez przypadek zajeżdżamy na jakąś farmę. Co ci ludzie tu robią i z czego żyją. Domki w środku niczego, po środku jakiejś doliny przy korycie wyschniętej rzeki. Czy oni kupili tą dolinę, czy ktoś im kazał siedzieć i pilnować tej doliny i płaci im za to siedzenie na odludziu? Dłużąca się paskudnie droga przecina rzekę Swakop i ponownie wdrapuje się na górę. Docieramy po 50 km do celu, miejsca gdzie rosną unikalne rośliny – drzewa Welwitschia.



Szczerze – nic szczególnego – śmiejemy się z tej atrakcji. Gdyby nie to, że musieliśmy coś zrobić z czasem oczekiwania na permity, nigdy tu byśmy nie przyjechali. Wynagradza nam jednak wszystko wieczór. Postanowiliśmy go spędzić na kempingu po drodze. Kemping znajduje się w korycie rzeki, otoczonej górami. Nie ma tu nic oprócz kilku drzew, kamiennego stolika i miejsca na grilla. Nie ma tu oczywiście również nikogo oprócz nas. Jesteśmy sami pośrodku gór, w korycie rzeki, pod wspaniale rozgwieżdżonym niebem. Nie ma żywego ducha w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Lekki strach nas przeszywa, gdy rozlega się jakikolwiek szelest. Raczej nie ma tu zwierząt i w to wierzymy. Chociaż ślady widzimy.. Więc mamy nadzieję, że nie ma nic poza łączącymi pająkami. Mimo wszystko jest wspaniale. Zbieramy chrust, rozpalamy ognisko, pieczemy kiełbaski, pijemy winko, śmiejemy się z Wewlitschii. Jest cudownie.



Rozmyślamy nad tym jak wspaniale jest być w takiej dziczy, bez żadnego człowieka w promieniu kilkudziesięciu kilometrów, będąc zdany tylko na siebie. Myślę co by było, gdyby rzek nagle zaczęła płynąć. Jest wspaniale. Jakże inne rzeczy się zauważa, gdy jest się samemu w dziczy. Polecam. To spełnienie marzeń oderwać się całkowicie i uciec od wszystkiego w tak daleką i egzotyczną podróż. Tylko trochę tęsknie do Polski i myśli wracają do smutnych zdarzeń sprzed kilkunastu dni. Ale taki relaks w naturze pozwala na ułożenie wszystkiego w głowie.

**20.04.2009**

Nie zostaliśmy zjedzeni przez żadne stworzenia, ani pająki. Czym prędzej wracamy do Swakopmund. Załatwiamy sprawy, rezerwujemy noclegi w Etosy, oddajemy do serwisu naszego zabójcę robaków. Teoretycznie nam go naprawili i podbili przegląd po 45000 km, ale mechanik przez kilkanaście minut ustawiła spryskiwacz, którego nie używamy..... Tak naprawdę, to co stukowało stukło dalej, a to co piszczało piszczy dalej. Autoryzowany serwis Volkswagena.... Mamy jednak spokojne sumienie. Poranna kawka, obiad na śniadanie. Kupujemy fajną namibijską muzykę i dalej w drogę na Skeleton Coast. Pędzimy dosyć szybko Salty Road wśród piasków wybrzeża.





Po prawej piach i upał, po lewej ocena z zimnym prądem Benguelskim powodują, że powietrze pomimo oślepiającego słońca jest rześkie, a jednocześnie ciepłe. Czasem nad ląd przebijają się chmury, robi się trochę chłodniej i mgliście. Ale do tego byliśmy przygotowani. Docieramy do Cape Cross, gdzie swój kawałek Afryki znalazły foki. Są ich setki, tysiące.



Krzyczą, wydają dziwne dźwięki ni to owcy, ni to krowy, czy ryczącego lwa. Biją się rozmnażają, leżą, pływają. Małe fokę ssą mleko matek. Tysiące fok w jednym miejscu powodują też specyficzny zapach, co tu dużo mówić smród. Tu i ówdzie widać też szczątki fok zjedzonych przez grasujące hieny i szakale. Robi wrażenie ten foczy przylądek. Zdecydowanie większe niż przylądek pingwini w RPA. Tych stworzeń są prawdziwe chmary. Jedziemy jeszcze kilka kilometrów przez solną drogą przez słone jeziora na kemping Mile 108. Po 3 dniach mamy w końcu możliwość kąpieli. Wprawdzie płacimy kilka miejscowych dolarów za ten luksus, ale czasem trzeba zmienić zapach w naszym samochodzie.... Obserwujemy zachód słońca nad Oceanem – ostatni podczas wyjazdu. Zjadamy romantyczną kolację we dwoje z winkiem, krewetkami przy namibijskiej muzyce. Za oknami silny wiatrom oceanu i dosyć rześko. Znów przed 21 idziemy spać, Jakaś kaczką jak gdyby nic leci prosto w bojler z wodą, uderza w niego i spada na ziemię. Ślepa, czy co? Komicznie to wyglądało. Reszta kaczek śpi na jakimś słupie – też dziwnie wyglądają. Ostatni raz idziemy spać na oceanem. Szum oceanu. Żadnej żywej duszy tradycyjnie na kempingu i w promieniu kilkudziesięciu kilometrów (poza kaczkami dziwolągami). Przepiękne gwiazdami niebo. Czego chcieć więcej. Jutro ruszamy w głąb lądu w stronę Etoshy – obejrzyć masę zwierząt w jednym z największych i najstarszych zwierzęcych parków Afryki.

A w rankingu dotychczasowych miejsc, które zrobiły na nas wrażenie małe przetasowanie.

1. Czerwone piachy i wydmy doliny Sossusvlei;
2. Cape Cross i tysiące fok;
3. Fish River Canyon;
4. Przylądek Dobrej Nadziei, Table Mountain i kolonia pingwinów w RPA;
5. Nocleg w korycie rzeki Swakop;
6. Diaz Point i cały półwysep w okolicy Lúderitz;
7. Wspaniałe widoki, krajobrazy, bezdroża i bezludzia Namibii;
8. Kolmanskop.

### **21.04.2009**

Skeleton Coast okazał się miejscem, którym jestem najbardziej zawiedziony. Kilka wraków, czy wręcz szczątków statków, trochę wydm. Jedyne brama wjazdowa z czachami robiła wrażenie.



Permit pozwalał nam tylko na przejazd główną drogą. My dodatkowo pojechaliśmy zakazane 10 km do Terrabaai. To był nasz ostatni kontakt z oceanem i najdalej na północ odwiedzone nad nim miejsce. Terrabaai to puszczony kemping pośród piachów (bo czynny tylko w grudniu i styczniu chyba). W okolicy jest jednak pasmo ładnych żółtych wydm, które odrobinę zrekomensowały nam nudny odcinek drogi wybrzeżem.



A droga była paskudna. Po pożegnaniu się z oceanem tuż przy zwłokach foki ruszamy w stronę Etoshy. Jak dobrze pójdzie będziemy tylko 90 km od Etoshy. Krajobraz nareszcie się zmienia. Z brudnoszarej pustyni na początku pojawiają się czerwone góry, a następnie sawanna, busz, kolejne góry. Droga jest kiepska, strasznie dużo podmyć i przejazdów przez rzeki. Raz nawet przejeżdżamy przez rzekę z wody ku naszemu zdziwieniu. Pojawia się bardzo dużo zwierząt, szakal, zebry, antylopy, strusie, niezliczone ilości ptaków i owadów. Fatalna droga i straszna ilość kamieni w końcu nas dopada i łapiemy gumę. Na szczęście mamy zapas i wymiana idzie szybko, choć robimy to pierwszy raz w życiu. Pasek znowu strasznie świszczy. Jadę ostrożniej na kamieniach żeby nie złapać drugiej gumy, bo wtedy będzie problem. Wstępujemy do Petrified Forest, co okazało się resztkami skamieniałych gigantycznych drzew, które miliony lat temu przyplęły to rzeką. Atrakcja mało ciekawa jak dla nas, z kategorii Welwitschia. Dołączamy ją do listy kiczów wyjazdu. Ale przynajmniej zrobiłem zdjęcia jaszczurek. Dojeżdżamy do Khorixas. Tankujemy, znajdujemy mechanika, u którego 5 osób z trudem naprawia nam oponę. Po targach ze 150 miejscowych dolarów schodzą nam z ceny do 60. Ale przy okazji buchnęli nam zupkę w proszku. W międzyczasie fotografuję jakieś dzieci bawiące się wózkami i wdzięczące się do aparatu. Cała gromadka urządza sobie wyścigi dziwnym wózkami na 2 kołkach. Wręcz pozuja do aparatu.



Znajdujemy jeszcze miejscowy klimatyczny sklep, w którym kupujemy cokolwiek miejscowego do picia i jedzenia. Odwiedzamy miejscowy bar. Klimat niesamowity. Lada i półki sklepowe baru SA za grubymi kratami. Panuje półmrok, śmierdzi rozlanym piwem. W kącie miejscowi piją piwo i dziwnie się na mnie patrzą – no cóż jestem biały w czarnym barze. Kupuję na drogę piwo, obrzydliwe wino i specyficzne pyszne frytki z octem. Dobrze. Tu zaczyna się prawdziwa czarna Afryka. Pomiędzy Khorixas i kempingiem, z którego ruszaliśmy (400 km) nie było żadnej stacji benzynowej, a przez pierwsze 300 km spotkaliśmy 1 samochód. W Damarlandzie to się zmieniło. Zmieniły się też wioski.. Widać większa biedę i widać, że to czarna część Namibii. Ludzie zachowują się inaczej. Jak dla mnie są właśnie afrykańscy. Z Khorixas do celu pozostało nam 130 km. Gość w serwisie pocieszył nas, że musimy bardzo uważać w nocy na Kudu. I dobrze, że nie jedziemy w drugą stronę (tą, z której przyjechaliśmy). Tam trzeba by jeszcze uważać na zebry, słonie i lwy. Droga nagle zrobiła się asfaltowa. I całe szczęście. Przez drogę przelatują nam krowy, jakieś gryzonie, szakal, który zdrapywał świeżą padlinę z jezdni. Na 30 km przed Outjo zauważyłem, że długie światła nie są takie długie i ledwo świecą. Deska rozdzielcza przygasa. Czekam, aż znowu zerwie się pasek i będziemy stali w szczerym polu. Samochód jedzie dalej. Staram sinic nie robić poza równą jazdą. Zaświeciła się lampka ciśnienia oleju. No nie jest dobrze. Jeszcze 25 km. Wyłączyłem długie światła i cos strzeliło (jakby wybuchło) pod maską. Zgasły wszystkie światła, ale po chwili zapalają się wszystkie kontrolki. Jedziemy jednak dalej. Świateł w zasadzie prawie nie mamy, Ciekawe czy mam z tyłu. Jeżeli coś będzie stało na drodze ... (Kudu) .... to na pewno przestanie stać. Nie ma szansy bez świateł nie zauważę – na pewno trafię. Znowu wszystko przygasa, włącza się lampka ciśnienia oleju, światła dalej prawie nie świecą. 15 km do mety. Jedziemy w ciszy około 80 km/h z twarzami przy szybie wypatrując zwierząt na drodze. Z nerwów zimno mi i się trzęsę. Zastanawiam się, czy nie wyciągnąć czołówki. 10 km. Lampka ciśnienia oleju uporczywie miga i piszczy. Jeszcze 5 km. Ciekawe, czy zatrzymamy silnik, czy zderzymy się po ciemku z Kudu. Widać łunę nad niewielkim miasteczkiem. Dojeżdżamy. Udaje mi się, ku mojemu zdziwieniu zredukować bieg, skręcić na skrzyżowaniu, przejechać jeszcze 500 m. Siłą rozpędu wtaczamy się na stację benzynową, którą właśnie zamykają i silnik gaśnie. To chyba jakiś cud. Drugi raz samochód psuje nam się totalnie, ale w miejscu do którego jechaliśmy (no prawie). Nie możemy uwierzyć w naszego farta. Jakby się samochód zatrzymał gdzieś na Skeletonie to pewnie czekalibyśmy ze 2 dni, aż ktokolwiek będzie chociażby przejeżdżał, nie mówiąc już o naprawie. Dla przypomnienia – na wszelki wypadek, dla ułatwienia nie mamy również telefonów komórkowych żeby w jakikolwiek sposób wezwać skądkolwiek pomoc. Cieszymy się jednak, że dojechaliśmy do Outjo. Przepychamy samochód spod dystrybutora, gdzie stanął na bok stacji, zaciągamy ręczny i tak będziemy spali. Zjadamy

to, co kupiliśmy w Khorixas. Jakiś stróż chodzi wokół i nas pilnuje. Czujemy się bezpiecznie. W międzyczasie 2 miejscowych niby mechaników dopytuje co się stało. Sprawdzają, zaglądną pod maskę. Odpalamy. Silnik pracuje, wszystko działa. To czego nie lubię. Ale i tak musimy czekać do rana na prawdziwych fachowców i wizytę u mechanika w garażu. Zastanawiamy się, co będzie dalej, co się okaże u mechanika. A co będzie, gdy wszystko rano będzie działało prawidłowo? Jeżeli to taki mechanik, jak w Khorixas to może lepiej jakby działało? Ale czy odważyć się jechać takim samochodem dalej? A może czekać na nowy, albo wracać do Windhoek? Jestem trochę zrezygnowany, zniesmaczony. Smutno by było nie wjechać do Etoshy. A może to cały czas wina świszczącego paska? Jutro rano zobaczymy co się stanie. Czuję jednak, że zaryzykujemy jazdę do Etoshy czymkolwiek. Nawet zastanawiamy się jak to będzie jak spóźnimy się na samolot. Historie snujemy nieprawdopodobne.

**22.04.2009**

Pobudka w sam raz na otwarciu garażu. Samochód nawet nie odpala. Nie wiemy, czy się cieszyć. Prześcigamy się w pomysłach, co mogło się zepsuć i ile będzie trwała naprawa. Odholowujemy samochód do zakładu, zostawiamy i idziemy na śniadanie. Spokojnie czekając, kupujemy kilka pamiątek, torbę podróżną w śmierdzącym moczem miejscowym sklepie. Po 2 godzinach samochód jest gotowy. Mechanicy mówią, że powodem kłopotów znowu był pasek od alternatora, Naładowali akumulator, wymienili pasek. I co najdziwniejsze okazało się, że wcześniejszy pasek założony był nie tak, jak trzeba, bo przechodził przez niewłaściwe kółka. Jesteśmy w szoku, że działał i że przejechaliśmy na nim 1500 km. W kolejnym szoku jesteśmy cały czas, że po raz drugi zepsuty samochód wtacza się nam dokładnie na docelowe miejsce. Trzeci szok to cena za naprawę paska 300 zł. Zdenerwowani dzwoniemy do Hertza i pytamy, czy zwrócą nam koszty. Zapewniają, że tak. Oby. Około 11 ruszamy do Etoshy. Droga znowu asfaltowa. Szybko dojeżdżamy i załatwiamy formalności. Jesteśmy w Etoshy! Ledwo wjeżdżamy wpadamy w stado zebr.



Jedziemy dalej. Przed samochodem przechodzi lew.



No ładnie się zaczyna. Mało tego. Lew jest w trakcie polowania. Skrada się do samotnej antylopy. Ukryty w wysokiej trawie, przyczajony, bezszelestnie skrada się do niej. Ręce nam się trzęsą z wrażenia. Robimy zdjęcia, kręcimy film. Nagle rusza. Antylopa orientuje się, biegnie przez chwilę. Lew rezygnuje. Chyba był za daleko. Antylopa wydziela jakieś dźwięki odstrasżające lwa. Lew odchodzi. Szkoda, że nie widzieliśmy polowania do końca. Ale jesteśmy pod wrażeniem tego co widzieliśmy. Jedziemy dalej. Mijamy niezliczone stada zebra stojących na drodze. Tu i ówdzie stoją antylopy i strusie. Zebry stoją w grupkach po 2-3 przeważnie chroniąc małą zebra. Stoją i wyglądają jakby się przytulały. Kładą sobie głowy na grzbietach. Wyglądają prześlicznie. Robimy dziesiątki zdjęć. Są bardzo zgrabne i fotogeniczne.



Mijamy kolejne stada antylop, strusi, Gnu, duże ilości małych wiewiórek i różnych ptaków. Są ptaki, które stoją i zjadają zebrowe kupy. Nazywamy je gównojadami. Oglądamy w kilku miejscach ogromne Etosha Pan. Cały czas przeżywamy polowanie. Na koniec dnia (na kemping musimy wrócić przed zachodem słońca) jedziemy do Olifantsbad na słońce. Ale poza śladami ich obecności w postaci Elephant's Shit niestety nie widzimy słońca. Wracamy. Mijamy duże ilości szakali. Jeszcze nie wiemy co nas czeka

nocą. Widzimy stado kiludziesięciu ptaków, które nazywamy indykami lub bażantami. Nagle w stado naszych bażantów wpada szakal. Uciekają gdzie popadnie. Starsze starają się przepędzić szakala. Jeden z nich w pośpiechu wskakuje na dach samochodu. Dopiero gdy ruszamy zeskakuje. Wracamy na kemping. Nareszcie rozbijamy namiot. Jesteśmy zmęczeni spaniem w samochodzie. Wreszcie też się kąpiemy. Idziemy na kolację. Po alejkach wśród domków i namiotów biegają szakale, dziesiątki szakali. Niczego się nie boją. Zachowują się jak psy. Są trochę nerwowe. Wyglądają bardzo wrednie.. Pytamy, czy są niebezpieczne. Podobno nie, bo nie jesteśmy ich jedzeniem. Wesole. No cóż, rzeczywiście przechodzimy obok jednego jedzącego jakąś padlinę na ulicy i nic sobie nie robi z naszej obecności. Tak więc akceptujemy się nawzajem i szakale biegają wokół nas. Idziemy do restauracji. Atakujemy szwedzki stół za 70 zł od głowy. Zjadam chyba ponad kilogram, a może półtora kilograma steków z Beefa i Gemsboka na przemian. Do tego przegryzam udkami z kurczaka. Najadam się do bólu. Na deser idziemy nad pobliskie oczko wodne, Jest oświetlone. Warto było przyjechać do Etoshy. W oczku wodnym stoi wielki nosorożec. Na brzegu stoją jeszcze 3. Widzimy też śmiesznie pochylającą się do picia żyrafę. Nosorożce widuje się rzadko, a co dopiero 4 i to w nocy przy wodopoju. Rewelacja. Nie możemy oderwać oczu. Robię kilkadziesiąt zdjęć, tym razem nocnych. Szkoda, że ukradli mi statyw. Ale i tak kilka zdjęć chyba jest ostrych i ładnych.



Kwalifikuje polowanie razem z nosorożcem na drugie miejsce w rankingu hitów wyjazdu. Nie mogę wyjść z podziwu i nacieszyć wzroku tym, co widzę. Nosorożce odchodzą to znowu przychodzą. Przyszedł też inny nosorożec, ale przywódca stadka przepędził go groźnymi pomrukami. Pełni przeżytych wrażeń idziemy spać, lekko zaniepokojeni widocznymi w oddali błyskami. Zdążyliśmy przespać ze 2 godzinki i przychodzi burza i deszcz. Uciekamy z namiotu do samochodu i zwijamy szybko namiot. Resztę nocy spędzamy w samochodzie. A miało być tak pięknie. Może jednak lepiej, bo pomruki szakali i szelest traw poruszanych przez biegające wokół namiotu szakale budziły mnie co chwilę. Niby nie groźne, ale dreszczyk emocji we mnie był. Wokół ciągle nowe, nieznanne odgłosy parku.

**23.04.2009**

Wstaję przed 6, przed wschodem słońca. Idę nad oczko wodne. Do oczka podchodzi właśnie stado zebra. Pięknie odbijają się w tafli wody.



Słysząc głosy hien i groźne pomruki lwa, Zebry uciekają, ale lew nie przychodzi, tylko ryczy gdzieś w oddali. W przerwach słysząc głosy szakali i śpiew ptaków. Kolejne zebry podchodzą do wodopoju i odbijają się w tafli wody, pijąc ją. Słuchając pomruków lwa nie mogą wyjść z zachwytu nad wczorajszymi wydarzeniami, polowaniem i nocnym widokiem nosorożców odbijających się w wodzie, nocnych wędrówek i pokrzykiwań szakali i porannego widoku pijących zebra. Cieszymy się, że jesteśmy w Etoshy. Byłoby czego żałować, jakby nie udało nam się przyjechać. W nocy nad Etoszą przeszła niewielka burza z deszczem. Wystarczyła jednak do tego żeby uciekać do samochodu. Nocami śnią nam się coraz bardziej bzdurne sny, z których potem śmiejemy się do łez. Drugi dzień w Etoshy zaczął się dosyć nudno (pomijając poranne zebry). Bardzo mało zwierząt. Sennie. Na szczęście wrażeń zaczął nam dostarczać samochód. Znowu coś nam zaczęło świszcząć jakby mocniej. Ustaliliśmy, że to luzy na jednym z kółek od paska. Z lekkimi obawami postanowiliśmy jednak jechać dalej. Nie przejechaliśmy 10 km i naszą świstę zakończyło jakieś delikatne uderzenie. Oderwało nam się kółko od paska. Zgubiliśmy je po prostu. Karol wyszedł i je przyniósł. Ponieważ nie bardzo z nas są mechanicy, więc nie wyłączyliśmy silnika. Upewniliśmy się, że jedno z pasków dynda sobie pod maską. Tym razem, w końcu znaleźliśmy się w większych kłopotach, bo nie udało się dojechać do cywilizacji. No, ale ile w końcu można mieć szczęścia. Staliśmy na jednej z dróg w Etoshy w połowie drogi pomiędzy kempingami Halali i Okaukuejo.





Do każdego z nich mieliśmy około 50 km. Postanowiliśmy wracać do tego, z którego wyruszyliśmy, czyli do Okaukuejo, bo stamtąd bliżej do miasta. Wracać oznaczało być holowanym. Poprosiliśmy więc kogoś, aby zawiadomił kogoś w Okaukuejo, że stoimy zepsuci i czekamy na holowanie. Pewnie trochę poczekamy. Ale okolica piękna. Wysokie trawy, słońce przygrzewające przyjemnie, cisza. Jest pięknie. Szkoda, że przyczyna postoju jest niezbyt przyjemna. Znowu jesteśmy podłamani. Zastanawiamy się jak naprawić samochód, a w zasadzie jak wrócić do Johannesburga. Stoimy obok samochodu przyglądając się kołyszącym trawom na wielkich łąkach Etoshy. Podjeżdża jakiś samochód. Każą nam natychmiast wejść do samochodu i obiecują, że nas zaholują na kemping. Mówimy co się stało, pokazujemy pasek i urwane kółko. Mówią, że możemy jechać i nie trzeba chyba nas holować. Dziwne. Nie możemy wpaść na pomysł do czego może służyć pasek, który dynda skoro jedziemy... Zanim ruszamy nadchodzi stado 9 żyraf. Wspaniały widok. Ładne zwierzątka. Widoki jak na awarię samochodu piękne. Przebiegają śmiesznie przed naszym samochodem lekko wystraszone.



Wyglądają jakby płynęły - z taką gracją się poruszają. Ruszamy. Mijamy jeszcze wielką, ponad metrową zieloną jaszczurę. Dojeżdżamy bez problemów na kemping o własnych siłach. Za nami nasi wybawcy. Okazuje się, że to nic groźnego. To tylko pasek od klimatyzacji. Kilka razy upewniamy się, czy tylko od tego i czy na pewno można jechać. Nie bardzo to nam się mieści w głowie. Przecież my nie mamy klimatyzacji... No cóż - trzeba uwierzyć - tak będzie łatwiej. Ale i tak dziwne, że jedziemy ze zwisającym paskiem i nic się nie dzieje. Jedziemy powrotem.



Szkoda zmarnowanych 4 godzin. Ale cieszymy się, że jedziemy. Postanawiamy dojechać jak najszybciej do Windhoek, bo już trochę nas męczy nasza psuja i wymienić samochód na inny. Ten już wystarczająco dał nam się we znaki chyba jest coraz gorzej. My pewnie jemu też daliśmy się we znaki. Dobrze, że ta awaria tak się skończyła. Po raz kolejny jakoś nam się udało. Jak się jeszcze dowiedzieliśmy, mieliśmy jeszcze jedno szczęście.... Samochód, który nas „uratował” stał 500 metrów za naszym miejscem awarii i podziwiał leżącego w trawach grzywiastego lwa. Dobrze, że go nie widzieliśmy. Chyba byśmy się nieźle przestraszyli jakbyśmy go zobaczyli będąc poza samochodem. Mogło być nerwowo i groźnie, a przygoda mogłaby być z innym zakończeniem. Wszystko jednak na szczęście dobrze się skończyło, a następnym razem będziemy uważać wychodząc z samochodu w środku paku narodowego (w końcu po coś ten zakaz jest). Przed zachodem dojeżdżamy do Halali.



Nareszcie. Znowu robi się parno. Nad oczkiem wodnym widzimy znowu nosorożca. Idziemy tym razem jak dzieci spać przed 20. W nocy znowu przechodzi burza i znowu powtarzamy akcję przenosin do samochodu i zwijania namiotu.

**24.04.2009**

Kolejny dzień rozpoczynamy od 120 km jazdy przez Etoszę. Spotykamy żyrafy, wielkiego żółwia, 3 hieny, mnóstwo zebra, antylop, strusi, gnu.



Niestety nie spotykamy słonia. Bardzo szkoda. Cieszymy się, że udało się być w Etoshy. Szkoda jednak, że tak mało zwierząt widzieliśmy. Ale lew, nosorożce, szakale, zebry i hieny dostarczyły nam dużo wrażeń.



Największy zawód wyjazdu jak na razie to brak słonia. Wyjeżdżamy. Skończyły się szutrowe drogi. W planach mieliśmy jeszcze wyjazd na północ do Ruacany, granicy z Angolą, wizytę w Opawo u Himba i w Pupa Fallus. Niestety przez nasz samochód na wszelki wypadek musimy wracać dla pewności w stronę RPA. Przy takiej awaryjności każda stracona godzina to szansa na spóźnienie na samolot. Szkoda, bo bardzo chciałem zobaczyć życie Himba. To był jeden z priorytetów. Ale to będzie cel jednej z następnych wypraw. Pędzimy do Windhoek 500 km. Już tylko asfalt i ogromny jak na Namibię ruch. Wstępujemy jeszcze na farmę krokodyli w Otjiwarongo.



Dojeżdżamy do Windhoek przed 20. Nocujemy w Puccini House. Kemping chyba najtańszy jak do tej pory. Od razu zostajemy na dwie noce. Spokojnie odpoczniemy, kupimy pamiątki, zwiedzimy, poopalamy się, załatwimy sprawę samochodu. Jeden spokojniejszy dzień nam się przyda. Wieczorkiem robimy rundkę po mieście. Nic specjalnego. Podobne do pozostałych miast Namibii. Trochę wyższych budynków, no i kilka razy większe, ale też bez rewelacji, bo ma chyba koło 400 000 mieszkańców. Jedziemy na kolację do wcześniej upatrzonego przewodnika lokalu Joey's. Zjadamy zebrecę i Kudu. Tradycyjnie dzielimy się po pół. Bardzo dobre, wręcz pyszne jak dla mnie. Zdecydowanie inne od tego, co dotychczas jadłem. Knajpa godna polecenie ze względu na wystrój, nastrój, ceny i jedzenie. Następnego dnia przyjdziemy tu na kolejne eksperymenty. Chwila oddechu na kempingu, nasz ulubione wino Four Cousins. Jest bardzo zimno. Zobaczymy jak wytrzymam noc w kilku stopniach bez śpiwora. W końcu jest ponad 1700 mnpm – Windhoek to jedna z najwyższej na świecie położonych stolic. Na dodatek jeszcze jest zima. Cieszymy się, że szczęśliwie, bez dodatkowych awarii dojechaliśmy do Windhoek. Zobaczymy co załatwimy w Herdzie – nastawienie po zjedzeniu zebry mamy bojowe.

### **25.04.2009**

Noc była przeraźliwie zimna. Spałem owinięty w dwa koce, ubrany w 3 polary i kurtkę przeciwdeszczową z kapturem na głowie. Szczękałem zębami, ale przetrwałem. Jeszcze jedna noc przed nami w takiej zimnicy – mam nadzieję, że tylko jedna. Jedziemy do miasta. Niewielkie jest, ale ładne, spokojne, z wieloma parterowymi domkami z werandami. Odwiedzamy wypożyczalnię samochodów. Prześcigamy się jak zwykle w domysłach co zrobią. Czy naprawią nam samochód, czy dadzą nowy, a może załatwią bezpośredni lot do Joburga. Niestety naprawili nam samochód. Wymienili naszego słynnego jockey pulley'a, klocki i coś przy skrzyni biegów. Zrobili to w ostatniej chwili przed zamknięciem garażu. Trochę szkoda. Przy okazji załapaliśmy się na mycie karoserii i silnika. Samochód wyglądał już naprawdę na dobrze przejechany. No i wyszło na to, że jedziemy dalej. Snujemy się po mieście bez pośpiechu. Idziemy na stragany na pamiątki. Kupujemy kilka słoni i wyrzeźbiony w gałęzi drzewa pojemnik na strzały ze strzałami. Nareszcie prawdziwa Afryka i można się potargować. Spotykamy też trzy dziewczyny z plemienia Himba.



Są bardzo charakterystyczne – nie dziwne. Siedzą w środku miasta, pomalowane na brązowo, ze specjalnie ułożonymi, zbitymi w jakiś sposób w kilka warkoczy włosami (jakby sklejonych jakimś brązowym barwnikiem – może błotem?). No i do tego siedzą półnagie – z nagimi piersiami na wierzchu. Podobają mi się ze względu na swoją egzotykę i nie tylko, chociaż widać że są raczej młode. Jedna z nich ma z kilkanaście lat, pozostałe są nie wiele starsze. Ładne. Płacimy 30 miejscowych dolarów za zdjęcia z nimi.



To drobna rekompensata za to, że nie mogliśmy pojechać w rejon, gdzie normalnie żyją ludzie Himba. W ich rdzennej okolicy nagie dziewczyny wyglądałyby zdecydowanie bardziej atrakcyjnie. Tu troszkę wyglądają nie naturalnie. Ale lepsze to, niż nic. Cieszę się z tego, co zobaczyłem. Snujemy się jeszcze trochę, wступujemy do wspaniałego Bushmen Shopu z niesamowitymi maskami i innymi oryginalnymi przedmiotami z całej Afryki. Sklep jest ogromny. Mógłbym z niego wynieść wszystko. Jest trochę drogi, ale i tak nie wychodzę z pustymi rękoma. Kupuję lalkę Himba, strój do tańca z rejonu Kaprivi i małego lwa na prezent. Idziemy jeszcze na zakupy przedwyjazdowe. Kupuję dla Kuby nagrodę za trafny wynik – suszone mięso z Gemsboka i wracamy na kemping. Relaksujemy się na słońku, pijemy czterech kuzynów, kąpiemy się w zimnej wodzie w

basenie. Wieczorem lekko wypici jedziemy taksówką znowu na pyszne jedzonko do Joey'sa.



Wcześniej dajemy znać mejlem do Polski do mojego centrum dowodzenia, że żyjemy. Postanawiamy zaszaleć. Zjadamy różne antylopy, zebrową, strusia, krokodyla. Pijemy różne wyszukane miejscowe alkohole. Noc jest jeszcze zimniejsza. Trzęsę się strasznie, a do tego wilgoć.

**26.04.2009**

Rano wstaję i mam wrażenie, że będę chory. Zaczynamy wracać. Przed nami bardzo długa i żmudna droga. Po około 500 km w okolicy Keetmanshoop skręcamy Quivertree Forest z najdziwniejszymi drzewami Namibii.



Fascynujące kształty, trochę karłowate. Jesteśmy pod wrażeniem. Wyjeżdżając, przez tradycyjną przydrożną siatkę, w jakimś prywatnym chyba Game Parku widzimy dwa leopardy wpatrujące się w dal.



To nie to samo, jakbyśmy je widzieli w Etoshy, ale zawsze coś. Ładne są. Widzieliśmy. Nocą (koło 20) przekraczamy granicę. Żegnaj Namibio na jakiś czas! Wróć tu! Jeszcze kawałek asfaltu, kilka zwierząt na drodze i odbijamy w bok. Postanowiliśmy spać niedaleko Upington w okolicy Augrabies Falls – wodospadów na Orange River. Boczna droga znowu szutrowa. Pierwsze 5 km jakoś poszło. Dalej zaczynają się podmycia. Ślady płynącej rzeki są na drodze. Coraz większe dziury i piachy. A już miało ich nie być i co mamy powiedzieć naszemu Golfowi? Jest coraz gorzej. Co chwilę przekraczamy wyschnięte strumienie i pokonujemy naniesione piachy. Przed nami jednak staje niezła piaskownica i porządnie podmyta droga. Jest niezłe. Stajemy. Bardzo nierówno i bardzo piaszczyście – po ciemku wygląda jeszcze ciekawiej. Wychodzimy z samochodu. Przechodzimy i sprawdzamy czy damy radę przejechać. Jestem bliski zawrócenia. Jest ciemno, jesteśmy na uboczu. Nie chcę tu utknąć albo zgubić zawieszania. Karol mówi, że słabo to widzi, ja też. Ryzyk fizyk. Jedziemy. Pokonujemy przeszkodę na prędkości. Nie zakopaliśmy się. Zostało 25 km. Droga trochę lepsza. Ale mam wrażenie, że to nie koniec emocji. Przejeżdżamy piachy, ale nic specjalnego. Widzimy cywilizację i nagle stajemy przed ogromnymi piachami. Zostały 3 km. Trochę szkoda teraz zawracać i wracać 42 km. Ale piachy są naprawdę duże. Normalny człowiek Golfem by się nie pchał. Skoro są światła, to pewnie w razie co kiedyś nas wyciągną. Ruszamy i jedziemy na jedynce ile wlezie – na prędkości. Samochód się kopie w piachu. Silnik ryczy. Piach trze o podwozie. Docieramy do twardszego podłoża. Chwila oddechu. Ze 300 metrów za nami. Przed nami to samo co za nami – tylko więcej. Skoro zaczęliśmy, to musimy skończyć. Robimy to samo. Docieramy do kolejnej wysepki twardszego podłoża pośród morza piachu. Tym razem było z 600 metrów. Zawsze do przodu. Przed nami bez zmian. Piach. Ale tym razem naprawdę końca nie widać. Jedziemy, samochodem rzuca na boki, silnik wyje paskudnie, trzemy podwoziem o piach, zaczynamy zwalniać. Samochód prawie staje. Ale nagle łapie tysiami jak moja głowa oponami trochę twardszego. Przejechaliśmy. Samochód był dzielny. Docieramy do cywilizacji i asfaltu. Przez ładnych parę kilometrów sypie się z nas jak z piaskownicy. Ja mam dosyć szutrów. Dojeżdżamy do backpackersów, gdzie chyba tylko my śpimy.

**27.04.2009**

Kolejna okropnie zimna noc. Znowu mam na sobie wszystkie ciuchy, koce i kurtkę z kapturem. Nic to nie daje. Z trudem dotrwałem do rana. Czekam z utęsknieniem na rozgrzewające słońce.



Jedziemy na wodospady Augrabies. Nagle Orange River wpada w ogromny kanion, tworząc super wodospad.



Wokół kolorowe jaszczurki, góralki. Ładnie. Łapiemy trochę słońca i jedziemy dalej. Dzień wcześniej zrobiliśmy 1050 km. Teraz zostało trochę mniej. Jedziemy i jedziemy. We Vryburgu postój. Miasto jakby wymarło. Trochę się boimy. Jest jakoś nieprzyjemnie. Uciekamy niego czym prędzej. Ciągłe zmieniamy decyzje dokąd dojechać przed Joburgiem i gdzie spać. Droga się dłuży. Po ciemku przez RPA podróżuje się mało przyjemnie. Do tego jakieś objazdy. Zadrżałem z niepokoju, gdy złapaliśmy jakiegoś paprocha w paliwie i przytknął się przewód, a samochód zaczął się krztusić i zwalniał. Na szczęście jednak paproch uciekł. Nie możemy nic znaleźć. Ostatecznie postanawiamy



spać na stacji benzynowej pod Pretorią. Znowu zrobiliśmy ponad 1000 km. Łącznie w dwa dni 2200 km. Znowu zimna noc.

**28.04.2009**

Rano pakowanie na podróż.



Wywalamy namiot, karimatę, niepotrzebne rzeczy. Jakiś strażnik na stacji bierze namiot. Dzięki temu kąpiemy się na stacji na jej zapleczu pod prysznicem. Ledwo pakuję wszystkie rzeczy do torby. Co ja takiego mam, skoro większość mi ukradli? Pamiątki? Docieramy do Joburga. Inwestujemy jeszcze w wycieczkę do Soweto, czarnego miasta, dawniej oddzielonego od Joburga, rządzącego się swoimi prawami. Nasze obawy o bezpieczeństwo w Soweto okazały się bezpodstawne. Trzy godzinny objazd z przewodnikiem okazał się ciekawy, choć drogi (350 randów od osoby). Zjedliśmy obiad, spróbowaliśmy miejscowego piwa z kartonu – o smaku drożdży. Specyficzne, trwałe tylko 5 dni, więc nie mogę go przywieźć, choć bym chciał.



Jestem zadowolony z wizyty w tym township zamieszkałym przez ponad 3 miliony ludzi, z którego wywodzą się najwięksi przywódcy RPA, w tym Mandela.



Rzut okiem na nowoczesne city Joburga, z licznymi drapaczami chmur, ostatnie tankowanie i jesteśmy na lotnisku. To tu kilkanaście dni wcześniej dostałem pierwsze sygnały o Piotrku. Smutno mi się kojarzy to miejsce. W wypożyczalni opowiadamy o wszystkich kłopotach. Piszemy notatkę i skargę. Manager zwraca nam poniesione koszty napraw, a nawet przez przypadek za dużo, bo na jednym z rachunków oprócz naprawy był jeszcze nocleg i ciacho. Za to też daje nam przez przypadek kasę. Oczywiście nie protestujemy. Dodatkowo, jako rekompensatę, Hertz nie policzył nam opłaty za 2 kierowcę, przejazd do Namibii i mycie samochodu, a naprawdę było co myć. Jesteśmy usatysfakcjonowani. Całujemy samochód na pożegnanie, meldujemy się do mojego centrum dowodzenia, że dotarliśmy do Joburga, odprawiamy się i jesteśmy szczęśliwie w samolocie.

**29.04.2009**

Lot do Paryża na szczęście był nocą. Spanie było o wiele mniej wygodne niż w samochodzie, ale przynajmniej było. W dzień zanudzilibyśmy się, bo nie działały nam ekrany z filmami i w ogóle byliśmy lekko zawiedzeni tym lotem. Tylko jedzenie było dobre. Wylądowaliśmy w Paryżu z godzinnym opóźnieniem. No i pogoda zdecydowanie inna niż w RPA. Deszcz, chłód, chmury. Nieprzyjemnie. Ale za to sam Paryż na każdym kroku funduje jakąś wspaniałą historyczną budowlę, dzięki czemu wizyta w tym mieście była przyjemnym zakończeniem naszej wyprawy. Marsz spod katedry Notre Dame, przez Luwr, pola elizejskie, łuk triumfalny do wieży Eiffla, wśród kwitnących o tej porze wspaniałych kasztanowców przy odrobinie likieru afrykańskiego przyniosło nam sporo wrażeń.



A ja postanowiłem kiedyś przyjechać na maraton do Paryża. Jeżeli odbywa się on na polach elizejskich i jego trasa jest niedaleko łuku triumfalnego to bieg wśród takich zabytków musi być niezapomnianym przeżyciem, które chciałbym w najbliższym czasie zaliczyć. Z określonym nowym sportowym celem poleciliśmy do Berlina. Tu kolejnych kilka godzin oczekiwania na pociąg i o 20.48 ruszyliśmy w 12 godzinną podróż pociągiem do Warszawy. Nasza podróż powrotna zaczęła się w Windhoek. Trwała 72 godziny. Najpierw 2200 km samochodem z Windhoek do Johannesburga, później 9000 km samolotem do Paryża i 1100 z Paryża do Berlina i na koniec 600 km pociągiem do Warszawy.

Wyjazd był bardzo dziwny. Najpierw otrzymaliśmy bardzo przykre wiadomości, później zostaliśmy okradzeni. Wszystko, miałem wrażenie, sugerowało, że nie powinienem tu być. Ale nie poddałem się. Dopiąłem swego. Spełniłem marzenie o starciu i pokonaniu 56 km Ultramaratonu w jednym z najpiękniejszych zakątków świata, w których byłem kiedyś z Piotrkim. Jestem szczęśliwy z tego powodu. Dalsza trasa naszym dzielnym Golfem była bardzo ciekawa, po przepięknej Namibii. Dojechaliśmy wszędzie tam, gdzie chcieliśmy i zaplanowaliśmy, z wyjątkiem północy i rejonów Himba. Pomimo trudności udało się. Namibia jest zachwycająco piękna, dzika, bardzo zróżnicowana krajobrazowo, a jednocześnie bardzo nowoczesna. Przyroda zachwycająca, przestrzenie ogromne. Dla chcących spokoju, przestrzeni, pięknych widoków i chwili samotności idealna. Nie jest tania. Ale jest przyjazna w podróżowaniu. Czuliśmy się bezpiecznie. Przejechaliśmy 9200 km w 21 dni, widząc mnóstwo rzeczy. W rankingu hitów wyjazdu poza konkurencją jest jednak wydarzenie, czyli osiągnięcie celu i start w Ultramaratonie w Cape Town. Wśród pozostałych hitów zwyciężyły czerwone piachy i wydmy doliny Sossusvlei. Ranking mój wygląda tak:

1. Czerwone piachy i wydmy doliny Sossusvlei;
2. Cape Cross i tysiące fok;
3. Etosha i lwie polowanie oraz nosorożec i szakale nocą oraz zebry;
4. Fish River Canyon;
5. Przylądek Dobrej Nadziei, Table Mountain i kolonia pingwinów w RPA;
6. Nocleg w korycie rzeki Swakop;
7. Diaz Point i cały półwysep w okolicy Lüderitz;
8. Egzotyczne jedzenie zebry, krokodyla i antylopy w Windhoek
9. Quivertree Forest;
10. Wspaniałe widoki, krajobrazy, bezdroża i bezludzia Namibii;
11. Kolmanskop.

Wyjazd był naprawdę udany. Szkoda, że na początku prześladowały nas bardzo przykre wydarzenia. Trochę stęskniony za Polską wracam zadowolony, z mnóstwem przeżyć, pamiątek, zdjęć i wrażeń. Mam nowy cel sportowy – maraton w Paryżu i kolejne pomysły na wyjazdy, w tym najważniejszy – do Nepalu.....

